Nr. 42. Sobota, 14 go października 1911. Rok IX

GOŚĆ ŚWIĄTECZNY.

Bezpłatny dodatek.

Na niedzielę dziewiętnastą po Ziel. Świątkach.

LEKCYA

z listu św. Pawła do Efezów rozdz. IV, w. 23—28.

Bracia! odnówcie się duchem umysłu waszego i obleczcie się w nowego człowieka, który wedle Boga stworzony jest w sprawiedliwości i w świątobliwości prawdy. A przetoż złożywszy kłamstwo, mówcie każdy prawdę z bliźnim swoim, bo jesteście członkami jeden drugiego. Nie gniewajcie się, a nie grzeszcie: słońce niechaj nie zapada na rozgniewanie wasze. Nie dawajcie miejsca djabłu.

EWANGELIA

u św. Mateusza rozdział XXII, wiersz 1—14.

W on czas mówił Jezus przedniejszym kapłanom i Faryzeuszom w powieściach, mówiąc: Podobne jest Królestwo niebieskie człowiekowi królowi, który sprawił gody małżeńskie synowi swojemu. I posłał sługi swoje wzywać zaproszonych na gody, a nie chcieli przyjść. Potem posłał inne sługi, mówiąc: Powiedzcie zaproszonym: oto obiad mój nagotowany, woły moje i karmne rzeczy są pobite, i wszystko gotowe. Pójdźcie na gody. A oni zaniedbawszy, odeszli, jeden do wsi swojej, a drugi do kupiectwa swego: drudzy pojmawszy sługi jego, zelżyli i pobili. A usłyszawszy Król, rozgniewał się, i posławszy wojska swe, wytracił one morderce i miasto spalił. Tedy rzekł służebnikom swoim: Gody są gotowe, lecz zaproszeni nie byli godnymi. A przeto idźcie na rozstajne drogi, a którychkolwiek najdziecie, wzywajcie na wesele. I wyszedłszy słudzy jego na drogi, zebrali wszystkie, które naleźli, złe i dobre, i napełnione są gody siedzącymi. A wszedłszy Król, aby oglądał siedzące, obaczył tam człowieka, nie odzianego szatą godową. I rzekł mu: Przyjacielu, jakoś tu wszedł, nie mając szaty godowej? A on zamilknął. Tedy rzekł sługom: Związawszy ręce i nogi jego, wrzućcie go w ciemności zewnętrzne. Tam będzie płacz i zgrzytanie zębów. Albowiem wiele jest wezwanych, lecz mało wybranych.

NAUKA.

Najmilsi! Przypowieść, którą w niedzielę dzisiejszą czyta Kościół św., przytoczył Pan Jezus na krótki czas przed męką i śmiercią Swoją, kiedy to odprawiwszy uroczysty wjazd do Jerozolimy, uczył jeszcze przez kilka dni w kościele. Nim wypowiedział Faryzeuszom i Doktorom zakonnym to straszne i wielokrotne „Biada wam!" (Mat. XXIII, 27), zanim zawołał do całej Jerozolimy: „Jeruzalem, Jeruzalem! ilekroć chciałem zgromadzić syny twoje, jako kokosz kurczęta swoje pod skrzydła zgromadza, a nie chciałoś", Jerozolimczycy! „oto wam zostanie dom wasz pusty" (Mat. XXIII, 37, 38), wprzód chciał im w tej przypowieści jeszcze raz dać poznać ich złość i zaślepienie, a zarazem kary, które ich za to czekały.

Lecz tak te słowa przestrogi, jak i inne nauki, które wtenczas głosił Pan Jezus, nietylko nie przywiodły Żydów do opamiętania, ale owszem zwiększyły jeszcze ich nienawiść ku Niemu. Zamiast z tej ostatniej łaski Bożej skorzystać, oni „zebrali się do domu najwyższego kapłana, którego zwano Kaifaszem i naradzali się, aby Jezusa zdradą pojmali i zabili" (Mat. XXVI, 3, 4). Poprzysięgli Mu śmierć. Podjął Pan Jezus tę mękę dla naszego zbawienia, gdyż już nadszedł czas naznaczony przez Boga Ojca, a co ucierpiał, to, choć pokrótce, w nauce dzisiejszej rozważmy.

Jakkolwiek całe życie Pana Jezusa było jednem cierpieniem, bo cierpiał, gdy się narodził, cierpiał, gdy przed okrucieństwem Heroda musiał do Egiptu uciekać, cierpiał później w czasie Swego pobytu w mieście Nazarecie, cierpiał i wtenczas wiele, kiedy przechodząc Żydowską i Galilejską krainę naukę Swoją ogłaszał, to jednak mękę właściwą dopiero w dwa dni ostatnie przed śmiercią ponosił. Rozpoczęła się ona we czwartek wieczór, a zakończyła w piątek po południu o godzinie trzeciej. Choć jednak krótko trwała, przechodziła swoją srogością wszystko, co kiedykolwiek przedtem Pan Jezus na ziemi ucierpiał. Tu mógł zawołać słowy Jeremiasza proroka: „O wy wszyscy, którzy idziecie przez drogę, obaczcie, a przypatrzcie się, jeśli jest boleść, jako boleść moja" (Treny I, 32). Cierpiał bowiem niewymownie na duszy i na ciele, cierpiał od żydów, cierpiał i od pogan, cierpiał od wrogów, cierpiał i od własnych Swoich uczni.

Pierwszem miejscem Jego męki bolesnej był Ogrojec t. j. ten ogród na Oliwnej górze, w którym Pan Jezus tyle nocy na modlitwie przepędził, a do którego i po spożyciu ostatniej wieczerzy poszedł z Apostołami Swymi. Tu bowiem, kiedy się modlił, stanęła przed oczami Jego ta cała męka, jaką miał ponieść, te wszystkie zbrodnie świata, od których miał rodzaj ludzki odkupić i ta wielka liczba dusz nieszczęśliwych, które nie korzystając z owoców Jego męki, pójdą na zatracenie wieczne. Myśl o tem wszystkiem taką boleścią przejęła Jego serce, że mówił do Apostołów: „Smętna jest dusza moja aż do śmierci" (Mat. XXVI, 38), że na to samo wspomnienie pot krwawy wyszedł na oblicze Jego. Tu w ogrodzie Oliwnym złożył na Jezusowych ustach zdradziecki pocałunek Judasz, tu Zbawiciela pojmano i skrępowano, tu musiał patrzeć, jak Go wszyscy uczniowie odbiegli.

Z ogrodu Oliwnego zaprowadzono Pana Jezusa do domu arcykapłanów, a dom ten, to nowe miejsce, w którem wiele cierpiał Pan Jezus. Bo najprzód nietylko musiał słuchać wiele fałszywych świadectw

przeciwko Sobie, znieść wymierzony przez niegodnego służebnika policzek, ale co gorsza, patrzeć, jak własny Jego uczeń, apostół Piotr św. po trzykroć i to z przysięgą się Go zapierał. Zaprawdę! bardziej Go to musiało boleć, niźli sam wyrok śmierci, jaki Nań ogłoszono w tej chwili.

Lecz tu nie koniec Jezusowym cierpieniom, to dopiero początek. Ciężką była ta cała noc dla Niego, kiedy to, jak opisują Ewangeliści św. „poczęli niektórzy plwać na Niego i zakrywać oblicze Jego i kułakami Go bić i mówić Mu: „Prorokuj!" (Mar. XIV, 65). Cięższe jednak jeszcze chwile czekały Go na drugi dzień z rana. Nie mając bowiem prawa i władzy wykonywania wyroków śmierci, żydzi, skoro tylko dnieć poczynało, przywiedli Pana Jezusa do starosty rzymskiego Piłata. Nowe skargi, a zarazem nowe oszczerstwa i kłamstwa poczęły się przeciw Zbawicielowi mnożyć. Piłat, człowiek słaby i bojaźliwy, chcąc nie tyle Pana Jezusa od śmierci, ile raczej siebie od potwierdzenia wyroku uwolnić, wiele Mu nowych i srogością przechodzących wszystkie poprzednie, strasznych cierpień przyczynił.

Najprzód tedy odesłał Go związanego do starosty galilejskiego Heroda, kędy to Pan Jezus został wyszydzony i na pośmiewisko w białą szatę ubrany. Następnie porównał Go ze zbójem Barabaszem, pytając żydów: „Którego chcecie wypuszczę wam: Barabasza, czyli Jezusa, którego zowią Chrystusem?" (Mat. XVII, 17). A potem wypuściwszy Barabasza na wolność, Pana Jezusa kazał ubiczować. Straszna to była i nieludzka męka. Dreszcz zimny po członkach naszych przebiega już na samo wspomnienie, co tam u słupa wtenczas wycierpiał Pan Jezus. Bolały Go te bicze, którymi bez litości siekli Jego ciało szarpiąc je i targając w kawałki, a bardziej jeszcze dokuczał Mu ten wstyd, jakiego doznał, stojąc obnażony. Cierpiał i bolał, bo jak czytamy w Psalmie: „przypatrywali się i patrzyli" na Niego (Ps. XXI, 18). Nie mieli żadnej litości, bo choć już całe Jego ciało Najśw. okrutnie skatowane było, „żołnierze zwlókłszy Go, włożyli Nań płaszcz szkarłatny i uplótłszy koronę z ciernia włożyli na głowę Jego i trzcinę w prawicę Jego, a klękając się przed Nim, naigrawali Go mówiąc: Bądź pozdrowion królu żydowski". Inni zaś „plując Nań, wzięli trzcinę i bili głowę Jego" (Mat. XXVII, 27—30).

Gdyby choć na tem przynajmniej już się było wszystko skończyło, gdyby choć był Piłat dotrzymał tego, co był powiedział: „Skarzę Go tedy i wypuszczę" (Łuk. XXIII, 22), lecz inaczej uczynił. Gdy żydzi „nalegali głosami wielkimi żądając, aby był ukrzyżowan" (Łuk. XXIII, 23), gdy mu grozić poczęli: „Jeśli Tego wypuścisz, nie jesteś przyjaciel cesarski" (Jan XIX, 12), Piłat „Jezusa podał na wolę ich" (Łuk. XXIII, 25). Zaraz też przyniesiono krzyż, włożono na ramiona Jego i prowadzono na Kalwaryjską górę. Któż zdoła opisać, co na tej drodze wycierpiał Pan Jezus? Dość nam wspomnieć, chociażby tylko na to, że pod ciężarem krzyża kilkakrotnie upadał. Dowlókł się wreszcie przy pomocy Szymona Cyrenejczyka na miejsce przeznaczenia, a tu nowa i najstraszniejsza czekała Go męka. Krzyż złożono na ziemię, a zdarłszy szaty ze Zbawiciela, rzucono Go na to drzewo śmierci i przybito gwoździami ręce i nogi do niego. Choć zaś Pan Jezus, kiedy Go podniesiono z krzyżem, za wszystkie te zniewagi, miał tylko jedno słowo do nich, słowo przebaczenia: „Ojcze! odpuść im, bo nie wiedzą, co czynią" (Łuk. XXIII, 34), oni nie mogąc już Go czynnie dosięgnąć, przynajmniej usty Go znieważali, szydząc i bluźniąc w najokrutniejszy sposób. I w pośród takich cierpień, trapiących ciało i zarówno duszę, skończył Swe życie Pan Jezus. A z rozważania tych cierpień jakaż dla nas nauka?

Najprzód mówią nam one o niewymownej złości każdego grzechu, za który tak okrutne męki musiał cierpieć Pan Jezus. Te cierpienia Jego zdają się wołać do duszy każdej: „Wiedz a obacz, że zła a gorzka jest rzecz, żeś ty opuściła Pana Boga twego i mówiłaś: Nie będę służyła" (Jer. II, 19).

Głosi nam dalej ta męka Zbawiciela miłość Jego ku rodzajowi ludzkiemu, miłość tak wielką, że już niema większej od niej na świecie. Mówił bowiem Pan Jezus: „Większej nad tę miłość, żaden nie ma, aby kto duszę swą położył za przyjacioły swoje" (Jan XV, 13), a On przecież cierpiał i umarł za nas, którzy przez grzechy staliśmy się nieprzyjaciółmi Jego.

Jeszcze nareszcie i tę naukę daje nam męka Pana Jezusa, że niepoprawnych grzeszników straszne czekają w piekle cierpienia. Jeżeli bowiem nawet własnemu Synowi Swemu nie przepuścił Pan Bóg, gdy tenże przyjął grzechy nasze na Siebie, to jakże nam przepuści, skoro we własnych grzechach przed Jego sądem staniemy. Owszem jak tenże sam Pan Jezus zapewnia, srOższe nas wtenczas katusze czekają, bo „jeśli na zielonem drzewie to czynią, na suchem cóż będzie?" (Łuk. XXIII, 31).

Weźmyż sobie tedy do serca te wszystkie trzy nauki, wypływające z dzisiejszego rozważania cierpień Zbawiciela. Owocem ich niech będzie znienawidzenie grzechu. Lękajmy się go dla jego złości, brzydźmy sie nim i chrońmy się go pilnie z miłości ku Jezusowi, który nam w męce taką miłość okazał. A jeśli te dwie pobudki jeszcze nie wystarczą, to niechże nas od grzechu ta ostatnia odstrasza, byśmy lękając się za życia zagrożonej kary, unikli jej na wieki. Amen.

ZA PÓŹNO!

Przez uroczą okolicę, mijając szerokie przestrzenie żyznych pól i łąk, pędził pociąg pospieszny, dysząc i sapiąc niby jaki smok.

Dzień był bardzo piękny, a słonko, uśmiechając się mile do świata, przenikało ciepłymi promieniami firanki na okienkach wagonów pociągu i drażniło swawolnie, przedostawszy się przez szyby, twarze podróżnych.

W oddziale pierwszej klasy pociągu siedział samotny jakiś, przystojny mężczyzna, lat może trzydziestu i kilku, ubrany bardzo wykwintnie, co zdradzało jego zamożny stan.

Naprzeciw niego na wyścielanej ławce spoczywał jego kuferek, on sam zaś głęboko był zadumany.

Oto wraca do swego miasta rodzinnego, którego od lat dziesięciu nie widział, w którem się urodził, przepędził złoty czas niewinnej młodości — w którem znajdują się jego dawni koledzy, przyjaciele i — jego stara, biedna matka.

Dziesięć już lat długich i przykrych ubiegło! Poszedł w świat daleki, dorobił się tam znacznej fortuny, doznał wszelakiego szczęścia, ale za to zapomniał o swem gnieździe rodzinnem i o swej matce, za któremi niedawno dopiero zatęsknił gorąco.

Wprawdzie był raz już przed rokiem na tej drodze, lecz wstyd okropny... Już stanął pociąg na wła-

ściwej stacyi, już miał wysiąść z niego i stopę postawić na drugiej ziemi, lecz hańba i przekleństwo mu! ach, strasznie go boli serce, palą te słowa, które ma wyrzec, palą jak ogień nieznośny, piekielny, przyprowadzając do wściekłości; oto, ach... przejechał stacyę, wstydząc się miasteczka i własnej matki.

Ach, dręczyć to go będzie niezmiernie, coraz dotkliwiej, dopóki z płaczem nie upadnie jej do nóg i nie wyspowiada się z nikczemnego występku. Tak, z płaczem padnie przed nią na kolana i błagać ją będzie o przebaczenie i przytulenie do piersi. A następnie zniewagę tę stokrotnie jej wynagrodzi.

Ubierze ją w suknie bogate, obrzuci złotem i drogimi kamieniami, da jej powozy i lokajów, bogactwa wielkie, otoczy ją zbytkiem niesłychanym, swą własną opieką i będzie jej strzegł, jak źrenicy własnego oka. Sam przed nią się upokorzy, stanie się jej najniższym sługą, który każdy rozkaz, każde życzenie lub myśl nawet starać się będzie w mgnieniu oka co do joty spełnić. Wiernym jej będzie, jak pies do ostatniego tchu i uczyni życie jej, tu na ziemi, w całem znaczeniu wyrazu — rajem, niebem.

Ach, biada mu, stokroć biada, ponieważ wyparł się jej niedawno dla wstydu, wyparł się swej własnej matki.

Jak on pamięta ją jeszcze stoi nad jego kołyską schylona, mała, szczupła, nikła, z mizernem i bladem od niedostatku i głodu obliczem, z oczami wielbiemi, błękitnemi, kochającemi, w dół od płaczu i zgryzoty wsuniętemi, i palcami okaleczałymi i popuchniętymi od nadmiaru pracy... dla niego!

I słyszy jej cichy, drżący, lecz nieskończenie słodki głos, słodszy od wszystkich woni pól, łąk i lasów, a powabniejszy niż wszelkie bogactwa, szczęście ziemskie i przychylności ludzkie, milszy nad to wszystko tysiąckrotnie, bo to głos matczyny. Głos, niewymownie więcej przejmujący, niż głos kochanki, i niż wszystkie cudne harmonie na świecie, a teraz jeszcze go słyszy, jakby śpiewała mu nad kołyską:

Śpijże, dziecię moje lube, śpijże tylko ma:
Wiedz, iż u kołyski czuwa biedna matka twa...

Ale on jej niegodny. Od najpierwszych lat, gdy mu ojciec umarł, starała się o niego, pracowała w pocie czoła, nad siły, nabiedziła się i nakłopotała niemało dla niego, aby tylko wyszedł na człowieka. Od ust sobie niejednokrotnie odejmowała, wszystkiego szczędziła dla niego, aby nie szedł nigdy głodno spać, nie zaznał niedostatku i kłopotu.

Posyłała go na naukę do wyższej szkoły, a on jej już wtenczas wiele sprawiał przykrości. Nie uczył się, oddalał się ze szkoły, z domu nawet i niejeden raz niepotrzebnie łzy jej wyciskał.

Nie mając wogóle do czego innego zdolności, kształcił się potem w kupiectwie, wyuczył się i po niejakim czasie w świat wyruszył.

Wkrótce szczęście mu posłużyło, dorobił się własnego sklepu, później wielkiego majątku. Ożenił się potem bardzo bogato, z dziewczyną z wyższego stanu i stał się wszędzie poważanym i wpływowym człowiekiem, ale w tem całem szczęściu swojem zapomniał o... swej matce, biednej, nieszczęśliwej, na starość pomocy potrzebującej.

Jak tylko wyruszył w świat, mało co o nim wiedziała; najprzód rzadko, potem wcale nie pisał, zapomniał o niej całkiem, wstydził się jej, wyparł się...

Lecz sumienie nie śpi, czuwa i strasznie się potem mści. Nie widząc jej już dziesiąty rok, zatęsknił nagle do niej i do tego gniazda, w którem przeżył złoty wiek dziecięcy i ukochał był niektórych ludzi, miejsca i kąty, i trapiony wciąż coraz dotkliwiej gorącą tęsknotą, postanowił ostatecznie odwiedzić tę okolicę.

Jednakże wstydząc się, nie powiedział żonie swej, że ma jeszcze matkę biedną, starą, która tęskni za nim i wygląda go niecierpliwie każdego dnia, każdej godziny i chwili, a nie widząc go od dawna, gorzkie wylewa łzy, jakoby za umarłym.

Zatęskniwszy, postanowił z tego powodu cichaczem tylko ją odwiedzić na dzień lub dwa i w ten sposób często ją odwiedzać i dawać jej wsparcie potajemnie.

Wyjechał tedy i był już na upragnionej stacyi, wtem widok miasteczka a w duszy obraz nikłej, prostej matki wywołały obojętność dla nich w jego sercu i przejechał dalej stacyę, zmieniwszy przedtem bilet.

Atoli po powrocie do domu objęły go, jak ogień nieznośny, piekielny, wściekle palący jego serce, niegodziwe wyrzuty sumienia, i zniewolony wreszcie gwałtem, jedzie teraz znowu z skruchą w sercu, przebłagać matkę i wynagrodzić.

Wtem przeraźliwy i przeciągły świst lokomotywy i zatrzymanie się pociągu objaśniło go, że jest już u celu.

Wysiadł po chwili z pociągu drżący, rozpromieniony, z dziwnem uczuciem radości i bojaźni.

Dworzec stał w bliskości miasteczka, nie wziął zatem koni, szedł umyślnie pieszo, by się rozradować i napawać widokiem tych stron, które przed dziesięciu laty opuścił i dla obojętności nie chciał potem odwiedzić.

Z łzawem okiem i nie posiadając się z radości i rozczulenia, spoglądał na wszystko wokoło siebie i witał z rozrzewnieniem pola, łąki, drzewa i domy, ulice i miejsca, znane mu po największej części z lat dziecięcych.

Wiele się wprawdzie zmieniło. Dużo starych domków, które jeszcze pamiętał, zniknęło i powstawały na ich miejsce nowe, miasteczko wypiękniało.

I ludzie się zmienili. Zamiast dawnych młokosów widział teraz osoby wyrosłe, zmężniałe, niektóre starsze wiekiem osoby teraz zupełnie się zestarzały, zgrzybiały, odmieniły się do niepoznania.

Większa część go już zapomniała i patrzała nań obojętnie lub niekiedy z uszanowaniem, jako na obcego „pana”.

Niektórzy jednak zdawali się przypominać go sobie, bo przystawali i patrzeli na niego ze zdumieniem i niedowierzaniem.

On atoli teraz na nich nie zważał, gdyż głowa jego, pod wpływem tego wszystkiego, zaprzątniona była innemi, ważniejszemi myślami: dumał o swojej matce.

Przyspieszał kroku, prawie biegł, mijając wszystko z jedyną myślą o swej ukochanej, starej matce... Wtem serce jego silnie zakołatało, twarz oblała się gorącym rumieńcem, ujrzał zdala chatkę rodzinną. Łzy cisnęły mu się gwałtem do oczu i płakał rzewnie, jak dziecko.

Nogi paliły go i przyspieszał coraz więcej kroku, jakby go kto gonił. Gdyby mógł teraz mieć skrzydła jastrzębia, pędziłby jak wicher, jak strzała, aby jak najprędzej domek dosięgnąć i nacieszyć się jego widokiem.

Nareszcie stanął przed nim.

Stała chatka mała, zgrzybiała, niby staruszka, niby własna jego matka, jakby się chciała już kłaść do grobu.

Była ta sama, którą znał jeszcze z lat dziecięcych, chociaż nieco zmieniona przez ząb czasu, lecz jeszcze mu miła, ukochana, najdroższa, ocieniona starą przyjaciółką, ogromną, rozłożystą lipą.

Gdy patrzał na nią, łzy coraz gorętsze i obfitsze napływały mu do oczu, i płakał i jęczał, jak dziecina. A wiatr, szumiąc tajemniczo w liściach, zdawał się również stękać i jęczeć smutnie, w czem mu ptaszki, cicho i żałośnie na drzewie świergocąc, wtorowały. Lecz mieszkała jeszcze w niej i żyła matka jego droga, ukochana matka!

Właśnie spojrzał mimowolnie przez jedno okienko, w pół przysłonięte wybrudzonemi firankami i nagle mignęła mu ręka matki.

Serce teraz uderzyło mu gwałtownie i drżał pod wpływem nieokreślonego uczucia, jak łodyga na drzewie, silnym poruszana wiatrem. W uszach mu zaczęło szumieć przeraźliwie, jak orkan niezwykły, i jak sto potężnych wołać głosów:

— Matka!

Machinalnie, drżąc silnie, jak w największej febrze, wstąpił w progi domku i zapukał nieśmiało do pierwszych drzwi.

Jakiś nieznany, ostry głos, który zarazem zmroził go całego, ozwał się szorstko:

— Kto tam?

Bez namysłu, ufając tylko spotkać matkę, wyrzekł cicho, jęknął zaledwie:

— Matko! to ja, twój niegodziwy, niewdzięczny Janek!

— Kto tam, do kaduka, niech wnijdzie! — na nowo odezwał się w wnętrzu izby grubiański głos.

Jan wszedł do izby i jednocześnie z dwóch ust wybiegł jakby jeden okrzyk zdumienia.

— Proszę wielmożnego pana, to niezawodnie omyłka — rzekła nieznana mu, stara kobiecina.

— Gdzie jest matka moja? — zdołał zaledwie wyjąkać pan.

— A o kim to wielmożny pan mówi? — spytała wielce zdziwiona stara, uważając go raczej za człowieka z niezdrowym umysłem.

— Gdzie jest matka moja? — powtórzył znowu boleśnie i jakieś złowrogie przeczucie wstrząsnęło nim. — Gdzie jest ona, Małgorzata Świerkowa?

Na te słowa zdziwiona kobieta, nie wiedząc wcale, czy śni, czy też dzieje się to wszystko na jawie, zmierzyła przybyłego od stóp do głowy.

— Leży tam, w stodole na słomie! — rzekła wreszcie drżącym głosem i, przeszywając go ostrym, groźnym wzrokiem, wskazała ręką na podwórze.

Jan zakrzyknął boleśnie i zbladł.

Wyszedł potem chwiejnym, niepewnym krokiem, nie czując się prawie na siłach z przerażenia, a nogi plątały mu się w chodzie.

Wreszcie zaczołgał się do stodółki i nagle straszny i wstrętny widok uderzył jego oczy...

Matka jego w lichych, łatanych łachmanach, z twarzą żółtą, trupią, leżała sztywna, bez życia, na ziemi, na kupce zgniłej słomy. Kawał brudnego miecha okrywał niezupełnie jej wynędzniałe, szczupłe ciało, a oczy wielkie patrzały strasznie, groźnie na przybyłego syna.

— Zmarła biedaczka — szepnęła za nim litościwie kobieta. — Nie miała nikogo, sama była na świecie i namozoliła się długo i strasznie. Ostatecznie już żebrać nie mogła, tak ją siły opuściły i zmarnowała ją okrutna choroba. W ostatnim czasie miasto ją utrzymywało, gdyż dawnoby zmarniała... a winna mi jeszcze za całe pół roku komorne. Nareszcie, przeleżawszy długi czas w chorobie i namozoliwszy się, za litością Bożą, zmarła co dopiero wczoraj z rana, opuszczona i wzgardzona przez wszystkich...

Jan podczas jej opowiadania stał milczący, ponury, blady i sztywny, jak gdyby posąg jaki. Wyrodnemu synowi drgały wszystkie nerwy i wszystkie członki. Czuł, jak jakaś niema rozpacz, niewysłowiona, straszna, obejmowała zwolna jego serce, wypełniała całe jego wnętrze i rozdzierała mu wnętrzności.

Oczy stanęły mu w słup i spoczęły na trupie nieszczęśliwej, która zdawała się swoim wzrokiem coraz więcej go drażnić i prześladować... Ból straszny, gwałtowny ścisnął mu serce, dusił w gardle i szarpał piersią, która pod jego siłą pracowała ciężko i zdawała rozsadzać się pod jego naciskiem.

Dręczony tym bólem, coraz więcej i dotkliwiej, upadł wreszcie przed trupem na ziemię, rycząc nieludzkim, dzikim głosem:

— Matko! och, matko!... patrz!... oto syn twój wyrodny, nikczemny, niegodziwy, niegodny ciebie!... Leży u stóp twoich... szarpany czarną rozpaczą, jak ptactwem drapieżnem... bólem wściekłym, piekielnym... ponieważ wstydził się ciebie niedawno... wyparł się...

— Och, gdybyś ty wcale mnie nie była porodziła! Och, ja syn twój niegodziwy, wyrodny!... Lecz matko, chociaż przybyłem za późno... ty daruj mi, przebacz mi! Na rany Chrystusa, na Matkę Jego Przenajświętszą, w których jeszcze wierzę... błagam cię, zaklinam cię, daruj mi!...

I ryczał coraz straszliwiej, coraz potężniej, z niewysłowioną wściekłością i rozpaczą. Włosy sobie rwał z głowy i ryczał przeraźliwie.

Trup zaś leżał spokojnie i sztywno. Twarz matki woskowa, nabrzmiała, zdawała się okazywać wielkie zdziwienie z powodu jego przybycia. Patrzała na niego zmarła cicho, lecz groźnie, strasznie, a usta jej w pół uchylone, krwią zbroczone, zdawały się lekko poruszać i szeptać straszną odpowiedź:

— Za późno!

GODŁO ŻYCIA.

Wiernie stanąć u przeszłości,
Jak krew ze krwi, jak kość z kości,
I sumiennie poczcić dzieje,
A w świat przyszły siać miłości,
Ziemię z niebem związać społem,
Serce z Bogiem — myśl z narodem,
Słowem, wzorem iść mu przodem,
I przymierza opleść kołem;
Nie poranić, nie podwoić,
Lecz miłością bóle koić,
Pracą ducha uszlachetnić,
I uwiecznić i uświetnić:
To zadanie zacnej młodzi —
I ojczyźnie to się godzi...
To zadanie sztuki, śpiewu,
Mężów pracy i posiewu
Dobrego w ojczyźnie.